Canor AI 1.20

Opinia 1

Kiedy pod koniec września anonsowaliśmy pojawienie się w naszych skromnych progach A-klasowej integry Canor AI 1.20 żartowaliśmy, że w związku z zauważalnym ochłodzeniem rozpoczynamy sezon grzewczy. Nie sądziliśmy jednak, że od wspomnianej krotochwilnej zajawki do publikacji niniejszego testu minie półtora miesiąca a w tzw. międzyczasie temperatura za oknem nader niechętnie przekraczać będzie 0°C. Czas jednak płynie nieubłaganie, doba uparcie ma tylko 24h i koniec końców dopiero teraz możemy podzielić się z Państwem naszymi obserwacjami poczynionymi w trakcie odsłuchów wspomnianego, dostarczonego przez białostockie Rafko słowackiego wzmacniacza zintegrowanego, na które serdecznie zapraszamy.

O ile już „budżetowy” set CD 2.10 & AI 2.10 budził w pełni zasłużony podziw pod względem tak jakości wykonania, jak i designu (brzmienia oczywiście również, lecz z racji skupiania się w tej chwili na walorach wizualnych pozwolę sobie ten wątek na razie odłożyć na bok) to dopiero w AI 1.20 widać jak przemyślany jest to projekt plastyczny, gdyż wraz ze wzrostem gabarytów komponentu wzrasta również skala, intensywność doznań naocznych. Dopiero teraz widać, że proporcje stały się bardziej harmonijne i choć sama szata wzornicza nie została nawet o jotę zmieniona, to kluczową rolę zaczęła odgrywać skala, czyli mówiąc wprost akurat w tym przypadku, podobnie z resztą jak w motoryzacji, większe oznacza lepsze, bo któż mając wolność wyboru zastanawiałby się nad Audi A1 skoro na tacy leżałyby kluczyki od A6, bądź nawet S6.
Jednak ad rem. Masywną płytę czołową wykonaną ze szczotkowanego aluminium w mniej więcej połowie wysokości przecina pas czernionego akrylu dzielącego dolną połówkę na ćwiartki. To właśnie na nim ulokowano centralnie usytuowany, bursztynowo podświetlony logotyp, po którego lewej stronie znalazły się przyciski wyciszenia i przygaszania a po prawej, również bursztynowy wyświetlacz. Podobnie jak w młodszym rodzeństwie kwestię wyboru źródeł rozwiązano za sprawą sześciu niewielkich przycisków. Włącznik główny znalazł się z kolei już na dolnym pasie aluminium a masywna, otoczona aureolą o wiadomej barwie iluminacji, gałka głośności rozgościła się w centrum górnej połowy.
Szczodrze perforowaną płytę główną zdobi imponujących rozmiarów grawerunek z firmowym logotypem a jej część tylna została tak przycięta by nie zasłaniać groźnie nastroszonych piór radiatorów. Jak się z pewnością Państwo domyślacie ów zabieg ma podłoże nie tylko natury estetycznej, lecz przede wszystkim wynika z konieczności zapewnienia pracującym w klasie A trzewiom. Może na papierze 30 W na kanał przy 8 Ω obciążeniu nie wygląda zbyt imponująco, jednak proszę mi uwierzyć na słowo – AI 1.20 ma taką temperaturę roboczą, że podczas kilkugodzinnego odsłuchu z powodzeniem może ogrzać 25 metrowe pomieszczenie i to przy zakręconych kaloryferach, gdy za oknem wskazania termometru poprzedza złowrogi „minus”. Tak jak już zdążyłem wspomnieć lwią część ścian bocznych przejęły we władanie radiatory, więc poza niewielkimi wypłaszczonymi fragmentami przedniej komory skrywającej dwa toroidalne trafa lepiej do Canora z gołymi dłońmi nie startować, bo ślady po jego przenoszeniu nadspodziewanie długo zostaną z nami w postaci bolesnych zadrapań i skaleczeń.
Ściana tylna zawiera dokładnie to, czego po klasycznej, stereofonicznej integrze wypadałoby się spodziewać, czyli pięć par złoconych wejść RCA i aktywne jedynie w trybie monobloku wejścia XLR, pojedyncze (również z odczepami dedykowanymi pracy w trybie stereo i mono) terminale głośnikowe, zintegrowane z włącznikiem głównym i komorą bezpiecznika gniazdo zasilające IEC i firmowy terminal komunikacyjny C-Link umożliwiający spięcie dwóch AI 1.20 i zarazem zdefiniowanie jednego z nich jako pełniącego zarazem rolę preampu, jak i końcówki mocy „Mastera” i podlegającego mu, „Slave’a”.
Od strony konstrukcyjnej mamy do czynienia z integrą zbudowaną w topologii dual-mono z regulacją głośności opartą na osobnych blokach przekaźników dla każdego kanału. Z podobną atencją producent podszedł do kwestii zasilania zapewniając każdemu kanałowi nie tylko własne toroidalne trafo, lecz i imponującą baterię kondensatorów o pojemności 132 000 μF (łącznie 264 000μ).

Patrząc na klasę pracy i moc naszego dzisiejszego bohatera oczywistymi wydają się skojarzenia z nieco tańszym, acz oferującym podobne parametry, Pass Laboratories INT-25. I coś rzeczywiście jest na rzeczy, gdyż podobnie do amerykańskiego konkurenta również i słowacka integra zamiast ślepego pędu w nieznane i pewnej, zazwyczaj

trudnej do obronienia wyczynowości stawia raczej na koherencję i organiczność przekazu. Nie oznacza to bynajmniej jakichkolwiek oznak senności, czy spowolnienia a jedynie nieco odmienny od tego, co pokazują wysokomocowe, AB-klasowe końcówki mocy rozkład akcentów. Tutaj definicja źródeł pozornych opiera się w głównej mierze na pokazaniu ich konsystencji, barw i soczystości tkanki a nie podkreślenia konturów i wyostrzania krawędzi. Coś państwu taka estetyka przypomina? Oczywiście, przecież to dość charakterystyczne cechy czarujących średnicą wyrafinowanych lampowych konstrukcji. Ba, pół żartem, pół serio można byłoby wręcz stwierdzić, iż brzmienie 1.20 jest bardziej lampowe od bądź co bądź hybrydowego 2.10. I byłoby w tym sporo prawdy, choć od razu wypadałoby dodać, iż różnica klas pomiędzy obiema integrami jest znacznie większa aniżeli wynikałaby jedynie z prostego rachunku ekonomicznego, gdyż AI 1.20 na tle swojego młodszego rodzeństwa oferuje zdecydowanie więcej muzyki a jednocześnie nieco mniej dźwięków.
Na niezwykle eklektycznej, przywodzącej na myśl zarówno twórczość Jacquesa Brela, jak i dokonania formacji Laibach albumie „Corpse Flower" autorstwa duetu Mike Patton & Jean-Claude Vannier bas był wyraźnie zaokrąglony, co bynajmniej nie przeszkadzało mu zapuszczać się w rejony zarezerwowane wydawać by się mogło dla zdecydowanie mocniejszych konstrukcji. Z kolei oscylujący pomiędzy głęboką zadumą bliską melodeklamacjom Leonarda Cohena a nie do końca skutecznie hamowaną psychodelią Nicka Cave'a wokal Pattona był uzależniająco dosaturowany i niemalże właśnie stereotypowo „lampowo tłusty", co niejako staje w opozycji do tego, co raczyły nam swojego czasu zaoferować również pracujące w klasie A, acz zdecydowanie bardziej transparentne emocjonalnie konstrukcje Tellurium, czy rodzimego Abyssounda. Proszę jednak powyższej uwagi nie odbierać w kategoriach jakiegoś zarzutu, czy pejoratywnie nacechowanego przytyku, gdyż daleko nie szukając podobną drogą od lat podążają Japończycy z Accuphase i jakoś nikt nie ma do nich o to nawet najmniejszych pretensji.
Podobne obserwacje poczyniłem na bluesowo – jazzującym albumie „Reflector", gdzie instrumentalne Vestbo Trio wsparł gościnnie pojawiający się na wokalu niesamowity Bjørn Fjæstad. Ponadto kremowe zagęszczenie średnicy sprawiło, że całość zabrzmiała nico bardziej intymnie aniżeli z mojej dyżurnej amplifikacji, co pozwoliło podczas odsłuchu nieco wnikliwiej wniknąć w strukturę nagrania. I tu pozwolę sobie na małą dygresję, gdyż zazwyczaj owe zagęszczenie powoduje, że słuchacz automatycznie przestawia się na kontemplację całości a nie poszczególnych detali i warstw. Tymczasem Canor sprawił iż pomimo dosaturowania i emocjonalnego dopalenia środka pasma nie tylko nie straciliśmy wglądu w dalsze plany, lecz wręcz byliśmy co i rusz zapraszani do ich wnikliwszej niż zazwyczaj eksploracji. Od razu jednak zaznaczę, że góra pasma wcale nie miała zamiaru schodzić na dalszy plan, więc co i rusz dawała o sobie znać, czy to podczas gitarowych partii, czy łapiąc za ucho złociście skrzącymi się blachami. A że przy okazji daleka była od ofensywności nader lapidarnie symulującej ponadnormatywną rozdzielczość, to już zupełnie inna bajka.
No dobrze, skoro klimaty lekkie, łatwe i przyjemne mamy z głowy, to co z takimi, które z ową łagodnością mają tyle wspólnego co szyba z szybowcem? Otóż śmiem twierdzić, że może ortodoksyjni miłośnicy wydobywających się ze strun głosowych ryków przywodzących na myśl płukanie gardła tłuczonym szkłem będą początkowo kręcić nosem, to większość odbiorców z mniejszym, bądź większym zdziwieniem powinna odkryć, że do tej pory uznawany za niezbyt strawny materiał nagle okaże się całkiem atrakcyjny i bez trudu będzie można w nim wyłowić intrygująco liryczne akcenty. Przesadzam? Bynajmniej. Wystarczy bowiem sięgnąć po radosną twórczość naszego rodzimego Behemotha, jak daleko nie szukając „Opvs Contra Natvram", bądź „I Loved You at Your Darkest Behemoth", by na własne uszy przekonać, się, że nie taki Diabeł straszny, jak go malują i definiowana do tej pory jako iście kakofoniczna warstwa instrumentalno – wokalna ma w sobie zaskakujące pokłady tak logiki, jak i łapiących za ucho i trącających struny naszej wewnętrznej wrażliwości akcentów. Oczywiście nie da się ukryć, że słowacka integra nie idzie po przysłowiowej bandzie i nawet nie próbuje oddać pełni dynamiki iście opętańczych blastów i gitarowych riffów, ale w jedynie znany sobie sposób nieco łagodząc przekaz i zaokrąglając krawędzie nadal jest w stanie oddać iście apokaliptyczne piękno najbrutalniejszych odmian metalu. Ponadto, jeśli komuś byłoby mało doznań, to uprzejmie donoszę, iż po mieście chodzą słuchy, że dodanie drugiego AI 1.20 i ustawienie obu w tryb monobloków dramatycznie zmienia sytuację dodając całości potęgi i dynamiki. I jestem w stanie w owe kuluarowe ploteczki uwierzyć, gdyż co jak co, ale 100W na kanał w klasie A zazwyczaj jest w stanie poprawnie wysterować przysłowiowy stół bilardowy o konwencjonalnych kolumnach nawet nie wspominając.

W ramach krótkiego podsumowania pozwolę sobie nieco przewrotnie stwierdzić, iż Canor AI 1.20 nie tylko nie jest przysłowiowym drutem ze wzmocnieniem, co nawet przez moment nie ma takich aspiracji. Zamiast bezdusznie reprodukować serwowane mu dźwięki stara się bowiem podać je w możliwie najbardziej atrakcyjnej formie, przez co nie tylko nie męczy słuchaczy zbyt bezpardonowym podejściem do niezbyt wyrafinowanych realizacji, lecz na każdym kroku stara się zwracać naszą uwagę na do tej pory pomijane i niezauważane pozytywy. Czy takie podejście do tematu spodoba się wszystkim? Śmiem wątpić, gdyż z pewnością każdy zna jednostki wyznające zasadę, iż im gorzej, tym lepiej, gdyż dopiero wtedy mają pewność dotarcia do źródła prawdy o danym nagraniu. Nie mam jednak wątpliwości, iż lwia część melomanów i audiofilów będzie gotowa przyjąć go do swoich systemów z szeroko otwartymi ramionami i dzień po dniu cieszyć się jego sonicznymi walorami a tym samym własną płytoteką.

Marcin Olszewski

System wykorzystany podczas testu
– CD/DAC: Ayon CD-35 (Preamp + Signature) + Finite Elemente Cerabase compact
– Odtwarzacz plików: Lumin U2 Mini + Franc Audio Accessories Ceramic Disc TH + I-O Data Soundgenic HDL-RA4TB
– Selektor źródeł cyfrowych: Audio Authority 1177
– Gramofon: Kuzma Stabi S + Kuzma Stogi + Dynavector DV-10X5
– Przedwzmacniacz gramofonowy: Tellurium Q Iridium MM/MC Phono Pre Amp
– Końcówka mocy: Bryston $4B^3$ + Graphite Audio IC-35 Isolation Cones; Accuphase P-7500
– Kolumny: Dynaudio Contour 30 + podkładki Acoustic Revive SPU-8 + kwarcowe platformy Base Audio
– IC RCA: Tellurium Q Silver Diamond
– IC XLR: Organic Audio; Vermöuth Audio Reference; Acrolink 7N-A2070 Leggenda
– IC cyfrowe: Fadel art DigiLitz; Harmonic Technology Cyberlink Copper; Apogee Wyde Eye; Monster Cable Interlink LightSpeed 200
– Kable USB: Wireworld Starlight; Goldenote Firenze Silver; Fidata HFU2; Vermöuth Audio Reference USB
– Kable głośnikowe: Signal Projects Hydra; Vermöuth Audio Reference Loudspeaker Cable + SHUBI Custom Acoustic Stands MMS-1
– Kable zasilające: Furutech FP-3TS762 / FI-28R / FI-E38R; Organic Audio Power + Furutech CF-080 Damping Ring; Acoustic Zen Gargantua II; Furutech Nanoflux Power NCF
– Listwa zasilająca: Furutech e-TP60ER + Furutech FP-3TS762 / Fi-50 NCF(R) /FI-50M NCF(R)
– Gniazdo zasilające ścienne: Furutech FT-SWS-D (R) NCF
– Platforma antywibracyjna: Franc Audio Accessories Wood Block Slim Platform
– Switch: Silent Angel Bonn N8 + nóżki Silent Angel S28 + zasilacz Silent Angel Forester F1 + Luna Cables Gris DC
– Przewody ethernet: Neyton CAT7+; Audiomica Laboratory Anort Consequence, Artoc Ultra Reference, Arago Excellence; Furutech LAN-8 NCF
– Stolik: Solid Tech Radius Duo 3
– Panele akustyczne: Vicoustic Flat Panel VMT

Opinia 2

Jak zagajałem w poprzednim teście ciekawie wypadającego brzmieniowo zestawu słowackiego Canora, po ostatniej zmianie dystrybucji marka przeżywa na naszym rynku drugą lub nawet trzecią młodość. Niby od dawien dawna była znana, tylko dziwnym trafem zawsze miała trochę pod przysłowiową górkę. Jednak jak widać, przy odrobinie wysiłku – naturalnie mowa o konsekwentnym rozwoju portfolio – zawsze jest szansa na kolejne rozdanie. I taką sytuację mamy tym razem. Powiem więcej. Moim zdaniem obecne wejście jest najbardziej konsekwentne, bowiem na fali dobrej sprzedażowej passy obecny opiekun marki – białostockie Rafko – dba o medialny byt brandu tego podmiotu gospodarczego i co jakiś czas proponuje nam ciekawe starcie z myślą techniczną naszych południowych sąsiadów. A ciekawe nie tylko z racji zderzania się z nowościami, ale również często z uwagi na będącą znakiem rozpoznawczym Canora ich hybrydową konstrukcję. Tak tak, chodzi o aplikację w układach elektrycznych lamp elektronowych, co pewnie nie tylko dla nas, ale wielu z Was jest wartym uwagi rozwiązaniem. To jest na tyle interesujące nas połączenie wody z ogniem, że nigdy nie odmawiamy sprawdzenie danego urządzenia w recenzenckim boju. I gdy przekonani, iż tym razem również odbędziemy kolejną tego typu podróż, co poniektórych najprawdopodobniej zaskoczę, gdyż na recenzencki tapet trafił w pełni tranzystorowy, zintegrowany, pracujący w czystej klasie A wzmacniacz Canor AI 1.20.

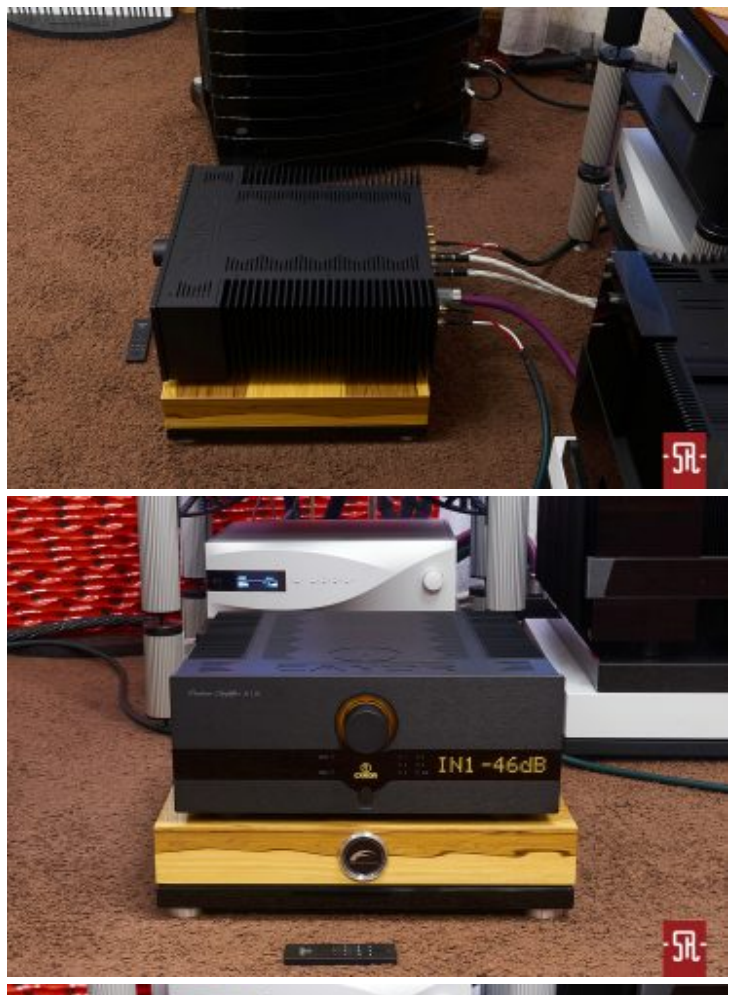

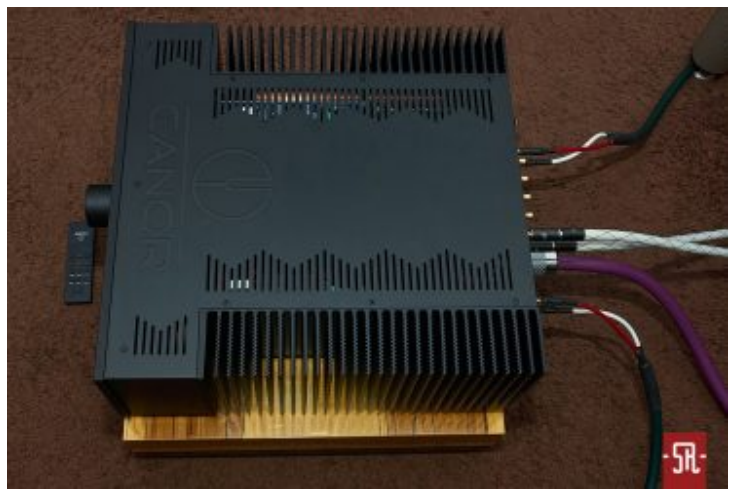

Gdy rzucimy okiem na naszego bohatera, okazuje się, że może jakimś ekstremalnie wielkim piecem nie jest, ale przy typowej szerokości reszta jego gabarytów jasno daje do zrozumienia, iż sroce spod ogona nie wypadł. Jest wysoki, głęboki i z racji pracy w klasie A oprócz licznych, designersko wykonanych poprzecznych otworów grawitacyjnie wentylujących wewnętrzne układy elektryczne, na bocznych ściankach został uzbrojony w wielkie radiatory. Jego wykonany z grubego płata szczotkowanego aluminium front przyjemnie dla oka przecięto usytuowanym nieco poniżej środkowej części czarnym pasem, w którego centrum – walka o utrzymanie spokoju wizualnego produktu – tuż nad nim umieszczonej gałki wzmocnienia producent postanowił zastosować niezbędny pakiet guzików sterujących. Ale to nie koniec boju o wygląd, bowiem w trosce o spójność wizualną naszego bohatera z prawej strony wspomnianego czarnego pasa znajdziemy jeszcze wielki, piktogramowy, czytelny chyba z kilometra, korelujący z brązem obudowy, bursztynowy wyświetlacz, mieniące się tą samą poświatą tuż nad włącznikiem budzącym wzmacniacz z uśpienia logo marki oraz podobnie umaszczoną obwolutę wokół pokrętła głośności.
Jeśli chodzi o tylny panel, ten w swym bogactwie proponuje nam zestaw zacisków kolumnowych z możliwością konfiguracji wzmacniacza jako monoblok, pakiet 5 wejść liniowych RCA, jedno wejście XLR dla wspomnianej funkcji mono, gniazdo C-Link oraz zintegrowane z bezpiecznikiem i włącznikiem głównym gniazdo zasilania. Naturalnie zwieńczeniem wyposażenia AI 1.20 jest dedykowany pilot zdalnego sterowania.

Jak można było się spodziewać, konstruktorzy Canora dobrze wiedzą, czym powinna cechować się dobrze, powtarzam dobrze skonstruowana klasa A. To ma być nienachalna plastyka, esencja i pełne kontroli soniczne mięcho. Owszem to sprawia, że odchodzimy od pogoni za wyczynowością projekcji w domenie szybkości narastania sygnału i ostrości rysunku źródeł pozornych, jednak wiele w tych aspektach można podciągnąć resztą toru. I tak też stało się w moim przypadku. Poczynając od źródła, a kończąc na kolumnach zapewniłem wzmacniaczowi godnych współtwórców przekazu muzycznego, co dobitnie pokazało, z że pozorny brak wyczynowości w żaden sposób nie wpływał na pełne emocji obcowanie z muzyką. Jak to możliwe? Po prostu wystarczyło zapewnić jej dobrą wagę, oddech i unikanie zbytniej zwalistości niskich tonów, co jota w jotę uczynił nasz słowacki przedstawiciel sekcji wzmocnienia. Było kolorowo, ciepło, ale przy okazji w górze zwiewnie, a to z jednej strony masowało moją romantyczną próżność, a z drugiej nie pozwoliło się nudzić. To bardzo istotne, gdyż muzyki słucham kilka godzin dziennie i nie może mnie usypiać, tylko dla przykładu jak w przypadku naszego bohatera, w danej estetyce – w tym przypadku fajnie zrealizowanej klasy A – wciągać w wir wydarzeń. Jakieś przykłady? Proszę bardzo.
Na początek aranżacja twórczości Krzysztofa Komedy przez braci Oleś wespół z wibrafonistą Christopherem Dellem „Komeda Ahead”. To jest wręcz idealna kompilacja do odtwarzania przez system stawiający na emocje związane z barwą i eterycznością zawieszonych w przestrzeni instrumentów. A wspomniany wibrafon już chyba w największym stopniu. Jego ekspresja dzięki klasie pracy wzmacniacza była powalająca. Jednak w ocenie tego występu wbrew pozorom nie to było najważniejsze. Oczywiście piję do również znakomitego występu obydwu braci, gdyż mimo hołubienia przez Canora raczej niezbyt zwartej prezentacji tak kontrabas, jak i perkusja wypadały bardzo dobrze. Pierwszy, czyli przerośnięte skrzypce wyraźnie pokazywały współpracę palca ze stroną i pudłem rezonansowym, zaś drugi w postaci okrągłych stelaży z naciągniętymi membranami i pokrywek do garnków obiadowych, na samym dole bronił się przed utratą kontroli, zaś na górze brylował feerią co prawda złotawych, ale za to swobodnie wybrzmiewających iskierek.

Innym dobrym, tym razem na pewnego rodzaju pomoc w odtworzeniu może nie słabej, ale z pewnością nie tak wyczynowej realizacji, przykładem była płyta formacji Banda Edwarda – krążek pod tym samym tytułem. To radosny blues – niezobowiązująca recka wkrótce na naszych łamach, który wręcz zasługuje na podanie go w estetyce nieco bardziej kolorowej poświaty. Lekkie, opisujące codzienne życie i związane z nim sytuacje teksty na fuzji z naszym bohaterem wyraźnie zyskiwały. Charyzmatyczna wokaliza brylowała swoją wielobarwnością, zaś instrumentarium dzięki podkręceniu niuansów barwowych ewidentnie zyskując na energii ani trochę nie traciło na wyrazistości. Po co to piszę? To banał. Aby pokazać, że dobra aplikacja królewskiej klasy wzmacniania sygnału audio nie zawsze jest sonicznym ulepkiem. Ale to nie oznacza z automatu, że zawsze gwarantuje pełen sukces. Jednak jak widać na załączonym przykładzie, słowacki produkt wyszedł z tego starcia z tarczą.
Jako zwieńczenie tej epistoły o możliwościach brzmieniowych clou naszego spotkania w kontrze do przywoływanego plumkania wystąpi wulkan energii w osobie Rammsteina z produkcją „Zeit". Cel? w teorii chciałem położyć Canora na łopatki, gdyż to przykład materiału typu „Palec Boży". Jednak w sobie tylko znany sposób wzmacniacz znalazł sposób – powtórzenie słowa celowe – na oczywiście pokazanie tej pozycji płytowej w nieco ugładzonej formie, jednak w całkowitym odbiorze nadal brylującej w kanonie szaleństwa. Może nie cięła uszu ostrymi frazami – a może na szczęście i nie zabijała natychmiastowymi wybuchami instrumentalnych zbitek, ale za to wyraźnie pozbawiona była męczących zniekształceń, a przez to zwyczajnie przyjemniej się tego słuchało. Ba, odczuwałem nawet bardziej emocjonalnie podkręconą nutkę pojednania z lubianym przeze mnie artystą.

Gdy dotarliśmy do finału, bazując na powyższym, ewidentnym gloryfikowaniu sposobu na muzykę według Canora AI 1.20 chcę powiedzieć tylko jedno. Osobnikami, którzy mogą sobie odpuścić tę pozycję w trakcie poszukiwań sekcji wzmocnienia, są li tylko piewcy karykaturalnej pogoni za granicznie ostrą kreską wydarzeń scenicznych i ekstremalnej szybkości ataku. Reszta populacji, nawet część optująca za neutralnością, przynajmniej powinna go posłuchać. W tym co robi, nie jest męczący i ani trochę nudny. A, że woli nieco pokolorować świat, cóż, ma do tego prawo. Jednak co istotne, nie przekracza linii dobrego smaku. A to już chyba istotna informacja.

Jacek Pazio

System wykorzystywany w teście:
– transport: CEC TL 0 3.0
– streamer: Melco N1A/2EX + switch Silent Angel Bonn N8
– przetwornik cyfrowo/analogowy: dCS Vivaldi DAC 2.0
– zegar wzorcowy: Mutec REF 10 SE-120
– reclocker: Mutec MC-3+USB
– Shunyata Research Omega Clock
– Shunyata Sigma V2 NR
Przedwzmacniacz liniowy: Gryphon Audio Pandora
Końcówka mocy: Gryphon Audio Mephisto Stereo
Kolumny: Gauder Akustik Berlina RC-11 Black Edition, Klipsch Horn AK6 75 TH Anniversary
Kable głośnikowe: Synergistic Research Galileo SX SC
IC RCA: Hijiri Million „Kiwami", Vermouth Audio Reference
XLR: Tellurium Q Silver Diamond, Hijiri Milion „Kiwami", Siltech Classic Legend 880i
IC cyfrowy: Hijiri HDG-X Milion
Kabel LAN: NxLT LAN FLAME
Kable zasilające: Hijiri Takumi Maestro, Furutech Project-V1, Furutech NanoFlux NCF, Furutech DPS-4.1 + FI-E50 NCF(R)/ FI-50(R), Hijiri Nagomi, Vermouth Audio Reference Power Cord, Acrolink 8N-PC8100 Performante, Synergistic Research Galileo SX AC
Stolik: Solid Tech Hybrid
Akcesoria:
– antywibracyjne: Harmonix TU 505EX MK II, Stillpoints ULTRA SS, Stillpoints ULTRA MINI
– platforma antywibracyjna SOLID TECH
– zasilające: Harmonix AC Enacom Improved for 100-240V
– listwa sieciowa: POWER BASE HIGH END
– panele akustyczne Artnovion
Tor analogowy:
– gramofon – Clearaudio Concept
– wkładka Essence MC
– Step-up Thrax Trajan
– przedwzmacniacz gramofonowy Sensor 2 mk II

Dystrybucja: Rafko
Producent: Canor
Cena: 35 950 PLN

Dane techniczne
– Moc wyjściowa: 2 x 50 W / 4 Ω; 2 x 30 W / 8 Ω; 1 x 130 W / 4 Ω; 1 x 100 W / 8 Ω
– Wzmocnienie: -30dB
– Czułość wejściowa: 290 mV
– Pasmo przenoszenia: 20-25 000 Hz ± 0,5 dB / 5 W.
– Impedancja wejściowa 30 kΩ
– Wejścia: 5 par RCA, 2 x XLR (aktywne jedynie w trybie monobloku)
– Całkowite zniekształcenie harmoniczne: <0,0009% / 1 kHz, 5 W.
– Odstęp sygnał/szum: >90 dB
– Współczynnik tłumienia: 250 / 4 Ω; 500 / 8 Ω
– Pobór energii: 305W
– Wymiary (S x W x G): 435 x 170 x 485 mm
– Waga (netto): 28 kg

Link do tekstu: Canor AI 1.20